

ADAM WĄSOWSKI

Nie będę się rozpisywał o całej prawie dwuletniej niewoli i poszczególnych obozach, w jakich pracowałem od świtu do późnej nocy, przy tak marnym odżywianiu i „wygodach łagrowych”, gdy spało się przeważnie pod swoim własnym płaszczem, często przemokniętym i cuchnącym nieokreślonymi zapachami, nie można także było utrzymać choćby dostatecznej higieny ciała z powodu częstego braku wody i zmiany bielizny. To człowieka tak nieraz gnębiło, że mimo dziennego przemęczenia pracą, wstawał w nocy i bił wszy lub przypalał przy jakimś ognisku. Na ogół w bieliźnie chodziło się bez prania dotąd, dopóki się nie podarła. Tak samo było z butami i innymi artykułami potrzebnymi dla niewolnika. Podobno my to mieliśmy jeszcze raj, bo pracowaliśmy na naszych ziemiach, ale ci, co już byli w Rosji w 1940 r. i powrócili do nas, opowiadali nam swoje przeżycia, które w następnym roku sam na własnej skórze odczułem.

Życie obozowe było ciężkie, doprowadzało do różnych chorób, a nawet do obłądki. Stałe rewizje, badania, częste pakowanie do karceru – nago (dosłownie nago), przy dwudziestu paru stopniach [mrozu] – przy dawaniu trochę ciepłej wody. Tu zaznaczę, że siedział jeden z moich znajomych z łagru w Sądowej Wiszni, ale że chłopak był młody i dobrej budowy wytrzymał tę torturę. Innych znów pakowali za noszenie orzełka, innych za niewyrobienie normy i takich przyczyn można naliczyć setki. Propagandą bolszewicką zanudzali nas do obrzydzenia. I tak ciągnęło się to piekło do czasu wojny niemiecko-bolszewickiej, gdy w duszy zaczęła się tlić isierka nieokreślonej nadziei, ale to tylko zabłysło i znów zgasło, natomiast piekło tortur podwoiło się z przyczyny gwałtownego pędzenia nas o głódzie i stale przemęczonych. Nie dopuszczali nas do żadnego przydrożnego strumyka, żeby zwilżyć spragnione wargi.

W naszym marszu urządzali jakąś nieokreśloną strzelaninę, po której zawsze uwidaczniał się brak naszych jeńców. Pamiętam z obozu w Czerlanach: [gdy] wyszło nas ok. 1600–1800 ludzi, to w drodze prawdopodobnie wybili 300, jak zaznaczali koledzy przy obliczaniu stanu rzeczywistego. Często było słyszeć strzelanie w opuszczonym przez nas łagrze, gdzieś odprowadzali nas i zatrzymali, a tam szukali pozostałych gdzieś w ukryciu na strychu czy pod podłogą. Pamiętam, jak odpoczywaliśmy w jednym łagrze i któryś zaszedł do piwnicy – tam spotkał pięć trupów naszych, poprzebijanych bagnetami. Jeden z nich był oficerem zamieszkałym we Lwowie, pozostali byli z innych okolic Polski. Niemało zabitych leżało podobno w zbożu za drutami.

Mieliśmy jeszcze jedno przeżycie szarpiące nerwy, a mianowicie gdzieś za Złoczowem jest łąka z krzaczkami olszyny i tam skręcili z szosy, ustawili nas mniej więcej w czworobok i niby mieliśmy odpoczywać, a to mniej więcej wyglądało tak, że myśleli, że wojska niemieckie zajądą im drogę, a oni dostali rozkaz, aby w razie takiej sytuacji cały obóz zniszczyć granatami (każdy z nich otrzymał w Złoczowie granaty). Jeden z jeńców podsłuchiwał rozmowę, ale na szczęście Niemcy nie przyszli i ruszyliśmy dalej. Schorowani, zmęczeni, z opuchniętymi nogami znaleźliśmy się w wagonach, zam[knięci] po 80 ludzi w jednym, zaryglowani na wszystkie spusty. Dali kawałeczek chleba, kilka małych słonych rybek i trochę wody. Do Starobielska zajechaliśmy jako żywe trupy. Tam życie [było] marne, brak sił powodował różne choroby, jak tyfus itd., spanie na deskach, pluskwy, to dopiero piekło!

I na pewno byłaby to już ostatnia wędrówka naszego życia, ale nastąpiło porozumienie. Nastąpił koniec piekła.